

*Die 31 julii, godzina dziewiąta z rana  
Zamek w Samborze*

Waarłam Jaickij dotrzymał obietnicy wspartej twardym jak żelazo mieszkciem pełnym dukatów. Wczesnym rankiem, ledwie Borek i Mykoła przypędzili konie od wodopoju, do obozowiska Dydyńskiego przyjechał kozak i oznajmił, że Dymitr oczekuje na stolnikowica na zamku.

Fortuna tym razem uśmiechnęła się do Jacka. Kazał zatem osiedlać Hetmankę, a potem, przyodziały w karmazynowy żupan husarski i najstrojniejszą ferezję, ruszył za sługą do Dymitra.

Wkrótce otwarły się przed nimi wrota na podzamcze; a tym, co wróżyło dobrze na przyszłość, był fakt, iż nie czaił się za nimi zawalidroga Dworycki. Przebyli podgrodzie, na którym wznosiło się pięć drewnianych domostw dla czeladzi i służby oraz drewniany dworek dla oficjalisty, taras z przegrodami dla trzymania więźniów starościńskich, a także Tatarnia, gdzie jeńcy z ordy krymskiej odpracowywali w pocie czoła liczne gwałty i grabieże poczynione w dobrach Korony Polskiej.

W miarę jak jechali do wysokiego zamku, coraz bardziej uwidaczniał się przepych i dostatek, którym otaczał się za życia jasnie oświecony wojewoda sandomierski, i jasne stawało się, dlaczego nie płacił królowi rat dzierżawnych i kwarty. Dydyński już rachował, na co poszły owe sumy samborskie, które szlachta nazywała tak z przekory, nawiązując do sum neapolitańskich wywiezionych z Rzeczypospolitej przez królową Bonę, herod-babę i wściekłą wilczycę, a potem pożyczonych hiszpańskiemu monarsze Filipowi.

Mur zamkowy miał bowiem balasy z pobiciem gontowym, farbowanym na czerwono. Na dziedziniec zaś prowadziła brama z gankiem obitym tarcicami, ozdobionym banią, to jest kopułą z powietrznikiem i pozłocistą gałką.

A na dziedzińcu wybrukowanym porządnie kamieniami kłuł w oczy splendor rodu Mniszców, do których rąk dukaty i talary leciały jak pszczoły do miodu. Wszystkie zabudowania – a więc zarówno Dom Wielki Jego Królewskiej Mości, mieszkanie Jej Królewskiej Mości, a także Dom Wysoki, zawierający tylko izbę stołową królewską i wzniesiony na kopcu oblanym wodą, połączony z resztą zamku mostem na palach – były świeżo tynkowane, a w oknach błyszcząły przejrzyste jak lód weneckie szyby. U wejścia do izb zamkowych pobudowano ganki pokryte baniem i banieczkami zaopatrzonymi w gałki – wszystkie, ma się rozumieć, suto pozłacane. Nawet drewniany kościółek z wieżyczką miał baniasty dach obity blachą. A kiedy Dydyński zsiadł z konia i ruszył za sługą do wnętrza domu królewskiego, przekonał się, że ściany sieni obite były brytami aksamitu, a piece z gdańskich i toruńskich kafli – malowane na czerwono i błękitno. Wszędzie cieszyły oczy mozaiki, marmury, a wszystkie podłogi – jeśli nie kamienne – były drewniane i stolarskiej roboty, to jest kolorami zdobione i bejcowane.

Dymitr czekał na Dydyńskiego w małej salce o ścianach wykładanych kobiercami. Wyglądał niczym siedem nieszczęść albo topielec wyciągnięty świeżo spod koła młyńskiego. Jego owalna i mięsista twarz była czerwona, a zielone oczy przekrwione

i podsiniałe po ostatniej nocy spędzonej – jak świadczyły armatnie saluty i wiwaty – na hucznej uczcie. Rudy włos miał w nieladzie, czamarę wymiętą i poplamioną. Zasiadał na zydlu obitym kobiercem, ale nie był sam – przy jego boku warował niczym wierny pies Waarłam Jaickij.

Dydyński podszedł do Dymitra tak ostrożnie i cicho, jak gdyby stąpał boso po rozżarzonej blasze. Czekala go rozprawa niczym krwawa bitwa w polu, jeden niepotrzebny gest mógł wszystko zrujnować. I przeciwnie – jeden szczery uśmiech zbudowałby most tak długi i szeroki, że dałoby się po nim przejechać aż do Moskwy karetą, do której zaprzężono sześć koni.

– Oto szlachcic, o którym mówiłem Waszej Carskiej Mości – rzekł Waarłam, wskazując stolnikowica długim i pulchnym paluchem. Dydyński nie lubił, gdy gawiedź wskazywała go łapskami, ale zniewagę ścierpiał, bo cóż miał robić? Odrąbać szablą rękę paskudnemu mnichowi? Ha, gdyby był carem, Waarłam pewnie jeszcze by mu za to podziękował. I złożył dłoń jako wotum w monastyrze czy innej cerkwi nakrytej złotymi baniami. Tak samo jak ofiary Iwana Groźnego, które wdzięczne były za srogie kary i tortury. Ot, choćby Dymitr Szewyrew, który wbity na pał przez trzy dni śpiewał pieśni sławiące krwawego tyrana.

– Jaki szlachcic? – zapytał Dymitr chrapliwym głosem. – Skąd? O nikim takim nie wspominałeś!

Stolnikowic łypnął złym okiem na Waarłama, skłonił się, zdjawszy kołpak. Nie za mocno, w miarę – ot, żeby okazać szacunek gościowi pana wojewody. Nic więcej.

Jaickij pochylił się do ucha carewicza, składając swoje tłuste cielskoomalże na pół, co musiało go kosztować wiele wysiłku, bo na nalanym obliczu pojawiły się krople potu. Za to jego szept słyhać było w drugim kącie sali.

– To jest pan Dydyński. Uratował życie Waszemu Carskiemu Wielicestwu na gościńcu pod Dubieckiem.

– Czy chcesz mi wmówić, że moja pamięć jest dziurawa? – prychnął Dymitr. – Podejdź bliżej, mości panie.

Dydyński stanął wprost przed carewiczem.

– Czego oczekujesz od naszego majestatu, człowieku małej wiary? Zgaduję, że przychodzisz w pilnej potrzebie. Gdyby było inaczej, nie wracałbyś tu, po tym jak obraziłeś nasz carski majestat niczym bezbożny Judasz, a raczej bezrozumny chołopiszka, który kiedy nawiedził go Ojciec Niebieski w żebraczym odzieniu, odpędził Jezusa kijem.

– Gdybym był prawdziwym Judaszem – ozwał się spokojnie Dydyński – nie wyciągałbym cię, mości carewiczu, ze skrzyni, w której dobywałeś ostatniego ducha. A nagrody za uwolnienie zażądałbym od razu i w złocie. Ja jednak wiem, że są rzeczy, których za złoto nie dostanie się nawet na jarmarku w Moskwie.

– Jakież to rzeczy?

– Honor i ludzka wdzięczność za uratowanie życia.

– Nie zapomniałem o twojej pomocy – prychnął Dymitr. – Jednak ty bez powodu znieważyłś carski majestat. A wiesz, że sprzeciwiać się nam to jakby sprzeciwiać się samemu Najwyższemu. Ja jestem synem władcy – który jest jak Bóg Ojciec – więc postąpiłś tak, jakbyś wystąpił przeciwko woli samego Jezusa Chrystusa Pantokratora. A przecież nawet dla was, Polaków, winno być jasne, że ten, który łamie wolę Bożą, przygotowuje dla siebie ogień piekieł!

– Nie wiem, jak jest z Moskalami – odrzekł Dydyński, bo diabli zaczęli go brać po tym wszystkim, co doszło do jego uszu – ale ja nie mam zamiaru słuchać tak mocnych słów. Jestem szlachcicem, wolnym człowiekiem, który wybiera królów i obala tyranów. A jako obywatel mający głos na elekcji mam prawo oczekiwać, aby nasz król był ojcem, a nie tyranem. A już najmniej przypominał despotę i złotego cielca, któremu biją czołem niewolnicy.

– Skoro nie jesteś niewolnikiem ani głupcem, to chyba nie spodziewałeś się innego powitania?! – zagrział Dymitr i poderwał się z zydlu. Dydyński przez chwilę miał wrażenie, że carewicz rzuci mu się do gardła. Dalibóg, jeśli tak srożył się syn, tedy zaiste słusznie jego ojca zwano Groźnym. – Nędzny człecze, jak śmiesz wstępować w te progi po tym, kiedy śmiertelnie mnie

obrazileś?! Na kolana! Proś o przebaczenie! Czy nie rozumiesz tego, co wiek temu ujął w słowa Iwan Preswietow, wielki i znamienity doradca mego drogiego rodzica – że car nie może rządzić bez wzbudzania strachu? Jak koń pod carem bez wędzidla, tak państwo nie może być bez grozy!

– Si non iurabis, non regnabis<sup>45</sup> – odparował Dydyński, nie bojąc się wykrzywionej wściekłością gęby Dymitra. – Tak nasz polski Preswietow, czyli pan Zborowski, odparł królowi Henrykowi Walezemu, kiedy ten nie chciał zaprzysiąc naszych wolności. Nie rządem tyrańskim Polska stoi, lecz prawem i obyczajem!

– Wiesz, co by ci uczynił car moskiewski za takie słowa?! – zakrzyknął Dymitr i ruszył w stronę stolnikowica, unosząc obie ręce, jakby naprawdę chciał spełnić swoją groźbę.

Dydyński uniósł dłoń ku rękojeści szabli.

– Nie zniosę takiego traktowania od Waszej Carskiej Mości! Nie jestem Moskalem, kniazem czy bojarem, abyś śmiało grozić mi katem i żelaznym posochem. A jeśli nawet liczysz na przewagę liczebną, tedy wiedz, carewiczu, że mam tu krewnych i przyjaciół w okolicy! Wilcy twoją reputację zjedzą, kiedy panowie szlachta dowiedzą się, że wojewoda sandomierski śrubuje na tron kremlowski tyrana, co godzi na życie człowieka, który własną ręką wyciągnął go z opresji?! I wtedy carskiej sprawy nie poprze nawet pies z kulawą nogą, a nie tylko żaden koronny szlachcic.

Dymitr zatrzymał się z uniesionymi rękoma, z obliczem wykrzywionym gniewem i wściekłą furią.

I nagle na jego obliczu pojawił się uśmiech. Burza minęła tak niespodziewanie, że sam Dydyński był zaskoczony zmianą jego nastrojów. No cóż, biegle odgadywanie humorów i fluksji panującego nie było umiejętnością, którą ćwiczyłyby od dziecka.

Carewicz cofnął się, przysiadł na zydlu. Skinął na Waarłama, a ten potoczył się ku sekretarzykowi, dobył z niego flaszkę wina, nalał do kielicha.

---

45 łac. – Jeśli nie zaprzysiężesz, nie będziesz panował

– Czego sobie od nas życzysz, mości panie Dydyński? – zapytał Dymitr. – Mienisz się być naszym zbawcą. Nie zapieramy się, że my, grzeszni, skorzystaliśmy z twojej pomocy. Przyjechałeś po nagrodę? Bo przecież prędzej uwierzę, że mój największy wróg, car Borys Godunow, da się postrzyc w mnichy, niż w to, że nagle przekonałeś się, iż jestem prawowitym następcą moskiewskiego stolca. A może przyśniła ci się Moskwa z tysiącem złotych cerkwi? I postanowiłeś uszczknąć trochę z jej bogactw? Mów śmiało. Nie bój się!

– Przed wszystkim nie przyszedłem, aby błagać Waszą Carską Mość o łaskę jak niewolnik. Gdybym był Moskalem, tarzałbym się teraz u twoich stóp, krzycząc, jakże to omyliłem się na trakcie pod Bachorzkiem, że nie poznałem carskiego soळा i wschodzącego słońca domu Rurykowiczów. Ja jednak jestem wolnym człowiekiem i niedowiarkiem, zatem daruję sobie komedię z rozpoznawaniem w tobie moskiewskiego następcy.

– A więc wedle twoich słów jestem samozwańcem? Dymitriaszką? Carzykiem? Ros-try-gą? – carewicz wymawiał te słowa wolno, przymknąwszy oczy, jakby sprawiały mu one niezwykłą rozkosz i smakowały lepiej niż wykwintne marcepany. – Czyż nie tak nazywają mnie przeciwnicy?

– Nie mnie wyrokować o koligacjach, mości carewiczu. Nie byłem w Ugliczu, kiedy zabójcy Godunowa chcieli poderżnąć ci gardło, ani też nie grywałem z tobą w pikuty. Jestem prostym żołnierzem, więc zapytany o to, czy jesteś synem Iwana Groźnego, odpowiadam w zgodzie z moim sumieniem: nie wiem. Wróciłem jednak nie po to, aby cofać moje słowa, choć przyznaję – były wypowiedziane z gorącej głowy i zbyt pochopnie – ale ponieważ wydarzyły się rzeczy, które zmuszają mnie do udania się do Moskwy.

Dydyński przerwał na chwilę i oblizał wargi. Wyglądało na to, że wypływali na szerokie wody. Oby teraz fantazja stolnikowica nie utonęła w nich jak dziurawa balia!

– Przyszedłem, ponieważ łączy nas, miłościwy carewiczu, wspólnota celów. Jeśli wspomóżesz mnie w tym, co chcę osiągnąć,

oddam szablę i poczet na twoje usługi. I będę służył ci nie z przymusu – jako samodzierzcy wsiej Rusi, świętemu carowi, wielkiemu księciu i innych mnogich ziem obładitielowi – ale z taką wiernością i oddaniem, z jakim służyłbym każdemu panu, któremu złożyłbym przysięgę. Dokładnie tak, jak byłem wierny Rzeczypospolitej i jej hetmanom – Chodkiewiczowi i Zamoyskiemu.

Dymitr spojrział mu prosto w oczy. Dydyński jednak wytrzymał jego wzrok.

– Wiem, że moje słowa mogą wydać się wam zuchwalstwem, bo nie zwykłem jak rab zginać karku i bić pokłonów nikomu, włączywszy w to króla Zygmunta i Ojca Niebieskiego. Zważcie jednak, że mówię szczerze, a nie co ślina na język przyniesie. I tak jak jestem szczerzy i otwarty w słowach, tak będę i w uczynkach. Jeśli teraz mam odwagę, aby mówić to, co myślę, będę miał ją także wówczas, aby pozostać przy was, w chwili kiedy będziecie w potrzebie. Zważ, carze, że ci, którzy są prostolinijni, ale szczerzy, pozostają wierni do końca. A ci, którym łatwo przychodzi zginanie karków, mogą bić pokłony przed każdym. Dziś przed tobą, jutro – przed twoim największym wrogiem.

– Czego szukasz w Moskwie, mości panie Dydyński? Sławy? Bogactwa? Szczęścia?! Nie – Dymitr osuszył puchar prawie do dna – nie fatygowałbyś się po to. Ty masz szczęście, po tobie to widać. Zatem – niech zgadnę – wydarzyło się coś, co sprawiło, że musisz uciekać przed prawem? Zajazd? Zwada? A może miłośna historia? To takie banalne, że aż polskie.

– Szukam w Moskwie zadośćuczynienia za grzechy ojca...  
Dymitr aż uniośł brwi ze zdumienia.

– Grzechy... ojca? Opowiedz mi o wszystkim dokładnie.

– Całe województwo ruskie zna tę historię lepiej ode mnie.

– To tylko plotki. Chcę usłyszeć prawdę z twoich ust.

Stolnikowic streścił całą rzecz w kilku słowach.

Dymitr milczał długo.

– Więcej nas łączy, niż dzieli, mości panie Dydyński – rzekł w końcu carewicz. – I ty, i ja utraciliśmy dziedzictwo z winy tych, co nas spłodzili. Ja – przez nieopatrność rodzica, który

zostawił Godunowa przy życiu. Ty zaś – z powodu zbrodni, której dokonał. Obaj cierpimy za grzechy ojców. Obaj walczymy o odzyskanie tego, co z woli Zbawiciela należy tylko i wyłącznie do nas. To pocieszające znaleźć kogoś, kto popadł w podobne tarapaty. Zgoda. Przyjmę twoje usługi, mości panie. A wiesz z jakiego powodu?

– Nie wiem.

– Przyjmę je nie dlatego, żeś mnie uwolnił i mam dług u ciebie. Bo kiedy chciałem ci okazać łaskę, wzgardziłeś nią – więc drugiej nie dostaniesz. Przyjmę cię nie przez to, iż brakuje mi szabel, bo wolę mieć ludzi mniej hardych niż ty, a także nie ze względu na twoje nagłe nawrócenie ani że obaj chcemy odzyskać nasze dziedzictwo. Przyjmę cię dlatego, że jesteś wybrańcem Fortuny.

Dydyński drgnął zaskoczony.

– Ocaliłeś mi życie, kiedy związany jak baran w rzeźni więziony byłem ku zagładzie. Uratowałeś moją głowę wczoraj wieczorem, kiedy złapałeś koniokrada i wszcząłeś zamęt na pastwisku pod zamkiem. I za to jestem ci wdzięczny po raz wtóry.

O czym on mówił? Jaki zamęt? Jakie ocalenie głowy?

– Człowiek, którego dojrzałeś na pastwisku, był mordercą wysłanym przez moich wrogów – cierpliwie tłumaczył Dymitr, uderzając kantem dłoni w drugą. – Jednym z dwóch worów, którzy mieli porwać mnie w trakcie uczty.

Ciekawe...

– Jeden z nich przekradł się do zamku i zaczął w komnacie, a drugi poszedł schwytać konie, aby zabezpieczyć kompanowi drogę ucieczki. Traf i palec boży chciał, że na pastwisku spotkał ciebie. Kiedy został schwytany i kat go oświecił – ale bynajmniej nie kagankiem cnoty – wydał współnika, który czekał cierpliwie z dobytym sztyletem w mojej komnacie. Gdyby nie ty, byłbym już martwy albo trząślbym się na końskim grzbiecie jak wór, podczas gdy owi hultaje wieźliby mnie ku moskiewskiej albo węgierskiej granicy.

A to dopiero historia...



– Pomogę ci znaleźć w Moskwie stryjecznych braci, kiedy tylko obejmę władzę. Wydam gramotę, aby szukano ich po całym kraju, od lodowych pustyń północy aż po tatarskie stepy na południu. Od Smoleńska i Siewierszczyzny po Sybir.

Po co ich szukać? – zabrzmiał w głowie Jacka robaczywy szept Przeclawa. Starczy potwierdzenie, że nie żyją! I podzielimy majątności na pół!

– To wszystko obiecuję i daję carskie słowo, że będzie zrobione i uczynione. O ile pójdziesz do mnie na służbę i pomożesz w pokonaniu Borysa Godunowa!

– Nic innego nie będę miał na uwadze – rzekł Dydyński – jak tylko to, aby Wasza Carska Mość jak najrychlej zasiadł na Kremlu.

– Powoli, powoli! – mruknął Dymitr. – Mówiłeś już długo i namiętnie, czego oczekujesz po mnie. Zgoda. Spełnię to. Jednak to nie wszystko. Albowiem mam dla ciebie zadanie. Trudne, niewdzięczne, tak jak nasze życie, ale niezmiernie ważne dla naszego carskiego majestatu.

Zadanie? O czym on mówi? To nie wystarczał już sam udział w wyprawie?

Tak to już jest z możliwymi, pomyślał Dydyński, nic nie ma za darmo. Królowie, księżęta, nawet karmazyni trzymają nas w garści i nie popuszczą. A jeśli nawet piją nasze zdrowie i obłapiają, to tylko po to, aby już za chwilę zaświecić w oczy diabelskim cyrografem.

I kto mi go wystawia! Żeby to był bodaj kasztelan albo wojewoda, nie wspomnę już o kniaziach Ostrogskich albo Koreckich. Takim nie szkoda byłoby choćby duszy zaprzedać. A to jest zwykły carzyk, pretendent nie wiadomo – z prawego czy lewego łoża, z nałożnicy albo siódmej żony cara Iwana. I służ mu wiernie jak pies.

A wszystko przez sprzedajnego brata i jego murwę!

– Od czasu, kiedy w Rzeczypospolitej zrobiło się o mnie głośno – rzekł cicho Dymitr – doczekałem się kilku prób zamachów na moje zdrowie i życie. Pierwszy raz in octobre minionego roku, kiedy napadnięto na przygraniczny Śniatyń i Pryłuki, spodzie-

wając się, że tam przebywam. Potem w marcu, gdy przyjechałem do Sambora, chcieli skrócić mnie o głowę dwaj słudzy kupca-bojara Semena Wołkowskiego-Owsianego, podłego szpiega i sługusa cara Borysa. Tych kazałem ściąć. Potem w maju, kiedy zatrzymałem się w Sanoku u syna mego dobrodzieja, pana wojewody Stanisława Bonifacego, sanockiego starosty, i na roczkach sądów grodzkich występowałem jako świadek w sprawie Zygmunta Chamca przeciwko Aleksandrowi Teofilowi Krylińskiemu, wrogowie zaatakowali znowu – bez skutku. Aż wreszcie, kiedy pojechałem miesiąc temu do Rzeszowa na rozmowy z panem Mikołajem Spytkiem Ligęzą, znów próbowano mnie pochwyć. Wtedy pomogła mi twoja szabla i gorąca krew. Wczoraj znów o włos wywinąłem się napastnikom. Te ostatnie próby miały zaś na celu nie tyle zabicie mnie, co uprowadzenie w niewiadomym kierunku. Opowiadam ci o tym wszystkim, bo chciałbym dowiedzieć się, kto na mnie poluje. Kto chce wziąć mnie żywcem? Odnajdź go, a ja odszukam twoich krewnych.

– Wróg Waszej Carskiej Mości jest tylko jeden – wzruszył ramionami Jacek. – To Borys Godunow, car moskiewski zasiadający w Granitowej Pałacie. Komu jak komu, ale jemu najbardziej zależy na waszej śmierci.

– Tego wroga znam lepiej niż własnego ojca – odparł Dymitr. – Ale po cóż fałszywemu carowi byłbym potrzebny w całości? Do jego dobrego samopoczucia wystarczyłaby moja głowa podana na wety na złotym półmisku. Tymczasem we wszystkich tych zamachach, wyjąwszy atak na Śniatyń i Pryłuki i pierwszy zamach w Samborze – będący dziełem szpiegów Borysa – napastnikom nie chodziło o moją głowę. Chcieli porwać mnie i uprowadzić z Rzeczypospolitej do Moskwy. W sobie tylko wiadomym celu.

– Krew jest tańsza od wina, mości carewiczu. Tymczasem żywy jesteś wart dla Godunowa co najmniej tyle złota, ile sam wazysz.

– To nie jest takie proste. Ktoś, kto chciałby mnie porwać, ryzykuje zbyt wiele. Po pierwsze, musi wieźć jeńca przez wiele

mil wrogim krajem, dbać o niego. A przecież prościej dać puginałem pod źebro i wrzucić ciało do byle rzeki. I już spokój, cisza. Kim są ludzie, którzy chcą schwytać mnie żywego i zdrowego? Wydaje się, że nie należą do stronników Borysa, bo temu zależy tylko na mojej śmierci.

– Nie powiedzieli na pytkach?

– Ci, którzy byli wysłannikami cara, wyznali wszystko.

– A ci drudzy?

– Nie było kogo wieszać na linie. A jeśli nawet – nie usłyszałem od nich niczego nowego. Ot, zbiry z gościńca wynajęci do mokrej i fachowej roboty. Nie było ich wielu, bo tylko dwóch. Nie przyznali się, choć mamy dobrego kata – Niemca – bo wy, Polacy, jesteście zbyt nieporadni do takiej roboty. Jeden skonał, a drugi milczy jak grób.

– Zdziwiałe...

– I straszne. Pomóż mi, a ja pomogę tobie. Nie jak car poddanemu, ale niczym człowiek człowiekowi. Moskal – Lachowi. Jak brat bratu...

Dydyński drgnął.

– Odnajdź tego, który chce schwytać mnie żywcem, i przywiedź przed carski majestat albo wskaż drogę do niego. Pokaż mi jego oblicze, bo chcę znać wszystkich moich wrogów. Ja w zamian za to odnajdę twego stryja lub jego potomstwo.

Dydyński nie wiedział, co rzec. Intryga była dziwna, wprost nie do uwierzenia. Cóż było czynić? Co robić? Ojczy, radź mi z nieba! Wesprzyj w godzinie zwątpienia.

Ojciec i niebo milczeli. Był sam, zupełnie sam. I pierwszy raz poczuł ciężar swej decyzji. Oto weźmie krzyż i będzie go niośł. Być może padnie pod jego ciężarem i nigdy nie powróci do Rzeczypospolitej. Nie obejmie Niewistki i innych wsi, nie sprzeda ich i nie przeniesie się na Ukrainę, gdzie byłby równy królewietom.

Jak ciężko było zdecydować! Do tej pory ojciec wybierał za niego. On posłał go do akademii w Rakowie, a potem do wojska. Zawsze ten ojciec. Jak bardzo go teraz brakowało.

– Zgódź się, panie Dydyński. Liczę na ciebie.

Pokiwał głową, bo w gardle zabrakło mu słów.

– Niechaj Wasza Carska Mość każe mu przysięgać – zasy-  
czał nagle Waarłam. – To nie nowina, że w co rano Lachy wie-  
rzą, temu na wieczór zaprzeczają!

Dydyński posłał mu nienawistne spojrzenie.

– Ucałuj mój chrest i przysięgnij dochować nie tylko wier-  
ności, ale i tajemnicy – rzekł groźnie Dymitr, po czym wyciąg-  
nął krzyż, który miał uwiązany na łańcuszku pod szyją.

– Powtarzaj za mną, Jacku Aleksandrowiczu. Ja, urodzony  
Jacek Dydyński...

– Jacek Dydyński...

– Ślubuję z całej swej duszy, fantazji i serca...

– Z serca...

– Być wiernym sługą.

– Wiernym... Sługą...

– Dymitra Iwanowicza, z bożej łaski carewicza moskiew-  
skiego, gosudara, pana, wielkiego księcia moskiewskiego,  
pskowskiego, siewierskiego, smoleńskiego i innych...

– ...i innych.

– ...że nigdy i nikomu nie wyjawię tajemnicy...

– ...jaką poznałem z jego ust. Tak mi dopomóż Bóg i Trój-  
ca Święta.

– Ucałuj chrest – ponaglił Dymitr. – Złóż pocałunek na  
znak prawdziwości twych słów.

Dydyński skinął głową. Ale nie opadł na kolana – stał z wy-  
sunietą głową, czekając, aż Dymitr podniesie krzyż i przysunie  
do jego oblicza. Dopiero wówczas pocałował stopy Chrystusa.

I odetchnął z ulgą.

– Byłem na ciebie zły i gniewny, nie ukrywam tego – mruk-  
nął Dymitr. – Pamiętaj wszakże, że nie jestem tyranem, a ktoś,  
kto pomawia mnie, że postępuję jak Borys Godunow, niechaj  
zapyta, na kogo się gniewam. Na tych, którzy przeciwko mnie  
występują – odpowiem. Kto zaś jest dobry, nie będę mu żałował  
niczego, oddam mu – z siebie zdjawszy – ten łańcuch i suknie.

A potem Dymitr naprawdę zdjął z siebie złoty krzyż i włożył go na szyję Jacka. Szlachcic nie skłonił się, nie ucałował w rękę carewicza. Obejrzał błyskotkę, po chwili podniósł głowę.

– Witaj w moich szeregach – roześmiał się Dymitr i rozłożył ramiona. Padli sobie w objęcia jak wolni bracia. Być może ten jeden jedyny raz przyszły car oblał polskiego szlachcica; bo znacznie później robiły to za niego skuteczniej i przez całe wieki kajdany oraz drewno moskiewskiej szubienicy. – Znajdź tego, co chce mnie porwać, a ja nie pożałuję złota i godności. U siebie w Rzeczypospolitej zostałbyś najwyżej starostą. U mnie będziesz bojarem, kniazem, albo przynajmniej koniuszym.

Dydyński spojrzał nań, pytając wzrokiem, czy kpi albo może jest pijany, bo rządcą od stajni nie zostałby nawet u samego Radziwiłła.

– Całowałeś chrest, więc szukaj moich wrogów. Śledź ich choćby dzisiaj.

– Czy Wasza Carska Mość może wskazać mi jakiś ślad?

– Jest Moskal – mruknął carewicz chmurnie. – Zwie się Borys i na razie pokutuje w lochu. To ten sam, który zaczął się na zamku, chcąc mnie ogłuszyć i chyłkiem wywieźć z Sambora. Schwytano go dzięki temu, że zdołałeś dopaść jego kompana na pastwisku. Ten wskazał miejsce, w którym miał czekać współnik.

– Skąd wiesz, mości carewiczu, że chciał cię pojmać, a nie zabić?

– Bo chociaż milczy na mękach, miał przy sobie to. – Dymitr sięgnął do sekretery, wydobył worek, a potem wytrząsnął z niego na stół... włochatą niedźwiedzią maskę szczerzącą białe kły.

Dydyński drgnął; maska była podobna do tej, którą zerwał z głowy związanego i zakneblowanego Dymitra na trakcie pod Bachorzkiem.

– Poznajesz? Teraz już wierzysz, że chcieli mnie porwać ci sami ludzie, co wtedy?

– Gdzie znajdę tego Moskala?

– W loszku pod tarasem zamkowym. Był już na mękach, ale nie złamało go ani przypiekanie, ani hiszpańskie trzewiczki, ani śrubowanie kciuków. I tak Borys będzie przysądzony drzewu, więc jeśli chcesz, możesz zawołać kata Friedricha i jeszcze raz spróbować coś z niego wydobyć. Pójdź tam, zobacz się z nim i niechaj Bóg cię prowadzi.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki